

PRACUJĘ WOLNIEJ, ALE GŁĘBIEJ

Trzykrotna zdobywczyni Grand Press za reportaż **Anna Śmigulec** dzieli się tajnikami swego wyjątkowego warsztatu z sobą samą sprzed 10 lat

aniu, mija dokładnie 10 lat, od kiedy opublikowałaś swój pierwszy reportaż. I to od razu w „Dużym Formacie”. Krzyczałaś wtedy z radości jak dziecko, bo to było twoje marzenie: pisać mądre, wnikliwe i poruszające reportaże. Posuwające wózeczek świata odrobinę do przodu.

Czulaś, że umiałabyś to robić, a jednocześnie wydawało ci się, że to przywilej jakiegoś specjalnego gatunku ludzi, dla ciebie niedosiężny.

Nigdy nie pracowałaś w gazecie. Nie przeszłaś ścieżki rozwoju od pisania o dziurze w jezdni w oddziale lokalnym do tworzenia dużych tekstów.

Od razu na głęboką wodę.

Na początku masz mnóstwo wątpliwości: czy umiesz znajdować tematy? Czy potrafisz zrobić solidny research? Czy jesteś w stanie przepuścić to przez swoją wrażliwość, po czym przejmująco napisać?

Niepotrzebnie się martwisz. Trudności, problemy i porażki przyjdą z zupełnie innej strony.

Jestem bardziej doświadczona i mądrzejsza od ciebie o tę dekadę. Pozwól, że dam ci parę wskazówek.

PAMIĘTAJ O PODSTAWACH

Ze szkoły reportażu wyniosłam cenne zasady:

- **Nie traktuj czytelnika jak debila.**

Czyli: nie kładź mu oczywistych rzeczy łopatą do głowy. Jeśli w jednym rozdziale nasz bohater pyta kobietę: „Wydziesz za mnie?”, to możesz zrobić zawieszenie, a w kolejnym pokazać, jak oboje stoją pod kościołem obrzucani ryżem przez gości weselnych. Czytelnik zrozumie, że ona wtedy powiedziała „tak”. Nie musisz wyjaśniać wszystkiego krok po kroku.

- **Treść potrzebuje formy.**

Wciągającego początku, który nie zdradza wszystkiego, atrakcyjnego środka oraz puenty, która zostawia niedosyt. Potrzebuje też dramaturgii – która działa jak gaz i hamulec. Raz przyspieszasz, potem trochę hamujesz, i znowu gazu. Bo czytelnik lubi być zaskakiwany. Ale nie możesz pisać tylko smutno albo tylko śmiesznie. Nie da się wzruszać lub rozśmieszać coraz mocniej bez końca. To jak z łaskotaniem: na →





początku jest przyjemnie, ale po chwili receptory czuciowe się wysycają i jeśli laskoczący nie przestaje, masz ochotę mu przyłożyć.

• **Jeśli reportaż opowiada o jednym bohaterze, to nie opisuj całego jego życia, tylko najważniejsze wydarzenia i punkty zwrotne.**

Czyli, gdyby je przedstawić za pomocą sinusoidy, opowiadaj tylko to, co na górze i na dole.

• **Pisz tak, jak mówisz.**

Językiem potocznym, nieskomplikowanym, jakim rozmawiasz z sąsiadką czy z kumpłem. Nie używaj sformułowań, jakich nie wypowiedziałabyś w zwyczajnej rozmowie, np. przeintelektualizowana aberracja w czasach postmodernizmu.

Chyba że chcesz osiągnąć efekt komiczny. Na przykład jestem na rozprawie człowieka, który przyłożył innemu mężczyźnie nóż pod żebra, ale ostatecznie nawet go nie zranił, tylko ukradł mu kawę na wynos za 6 zł. Policjant zeznaje, a sąd protokołuje: „Oskarżony dokonał zaboru kubka z kawą”.

• **Szczegół jest rusztowaniem reportażu.**

Okrągłe zdania nic nie mówią. Nie: „Witia był niesamowity”, tylko „Witia już w wieku dziewięciu lat robił pompki na trzech palcach i miał 12 medali”.

• **Nie maluj buraka na czerwono.**

Jeśli bohater mówi coś zabawnego i wybrzmi to w tekście, to nie dodawaj: „żartuje Zdzisław”. Nie pisz: „młoda 15-letnia dziewczyna”, bo jak 15-letnia, to wiadomo, że młoda.

I dedykowane. Redagując mój pierwszy reportaż, Mariusz Szczygieł upomniał mnie w komentarzu:

• **Unikaj mądrości w stylu cioci Kłoci na przyzbie.**

Nie pamiętam, co żenującego wtedy napisałam, ale od tamtej pory jestem na to wyczulona we wszelkich tekstach. Wyłapuję i kolekcjonuję. Mój ulubiony przykład: „Człowiek jest jak drzewo. Kilka ciosów siekierą i pada na ziemię”.

RÓB SOLIDNY RESEARCH. ALE BEZ PRZESADY

Na początku dopada mnie entuzjazm neofity. Zrobię wszystko, żeby tekst był dobry.

W 2013 roku pracuję nad reportażem „97 kobiet i ja” – o przemocy domowej, ale odwróconej: w której to mężczyzna jest ofiarą swojej żony alkoholiczki. Rozmawiamy 11 razy po trzy-cztery godziny. Jadę z nim na spotkanie Al-Anon – grupy anonimowych współzależniących. A nawet do klasztoru. Na dwudniowe warsztaty Al-Anon z noclegiem. Zajęcia od rana do wieczora. Mnóstwo się dowiaduję, ale nieetycznie byłoby użyć intymnych historii ludzi, którzy nie wiedzieli, że jestem reporterką. W tekście wykorzystuję więc tylko jedną informację: że mój bohater Tomasz jest tam jedynym mężczyzną. Kiedy siedzieliśmy w kręgu i uczestnicy warsztatów dzielili się swoimi historiami z życia z alkoholem, policzyłam: 97 kobiet i on. Stąd tytuł reportażu.

W 2014 roku jadę 600 km do Trójmiasta na research do „Głupiej sprawy”. Spędzam 10 dni z Czesławem Kowalczykiem, który przesiedział 12 lat w więzieniu za morderstwo, którego nie popełnił. Rozmawiamy godzinami: w domu, na mieście, w samochodzie. Uczestniczę w rozprawie o odszkodowanie z pięcioosobowym składem sędziowskim, poznaję jego prawników,

aktualną partnerkę, mamę, przyjaciół sprzed odsiadki, jego dom sprzed aresztowania – jestem jak jego cień przez te półtora tygodnia. Do tego dokumentacja sądowa. A samo uzasadnienie wyroku liczy 77 stron.

Albo research do reportażu „Psy na Klacie”. Na koniec liczę rozmówców: 52. W tym ludzie o umysłach jak brzytwa: jak Jan Peszek, Jan Klata, Krystian Lupa, Anna Dymna. Z każdym osobna rozmowa na żywo.

Parę lat później ze zdumieniem odkrywam, że reporter z innej redakcji rozmawia z bohaterami przez telefon. Nie ma czasu do nich jeździć. Bo co tydzień musi oddać nowy tekst.

Wybucho pandemia i nagle wszyscy musimy się przestawić na ten tryb pracy: przez telefon albo z wizją przez WhatsApp, Zoom, Teamsy, Messenger.

To uczy mnie, że do niektórych tematów czy bohaterów nie potrzebuję jechać 500 km. Wystarczy wideorozmowa.

A spędzić dwa dni w klasztorze dla jednego zdania? Nie. Dziś zorganizowałabym to inaczej.

NIE BÓJ SIĘ PYTAĆ

– Nie ma głupich pytań – oświadczyła stanowczo Magdalena Grochowska na zajęciach w Polskiej Szkole Reportażu w 2012 roku.

Byłam świeżo po lekturze jej książki „Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu” i co prawda nie wyobrażałam sobie zadania Giedroycowi pytania: „Co pan wtedy czuł?”, ale uwierzyłam Grochowskiej i wzięłam sobie jej prawdę do serca.

I teraz procentuje. Bo odkrywam, że bohaterowie mówią albo rozwlekle, albo zbyt lakonicznie. Zazwyczaj też chaotycznie i niespójnie, np. jedno zdarzenie ze swojego życia opowiadają czterzy razy, i to za każdym nieco inaczej, a o innych nie wspominają w ogóle. A ja, żeby opowiedzieć historię, potrzebuję najpierw ją zrozumieć. I nie skończę researchu, dopóki to się nie uda.

Dlatego w takich przypadkach zadaję mnóstwo prostych pytań: „Co się wtedy stało? Dlaczego? Co to dla pani znaczyło? Co pani poczuła?”. Albo doprecyzowujących: „Czyli próbę samobójczą miała pani już po śmierci syna, a przed wyprowadzką męża?”.

W skrajnych przypadkach tłumaczę:

– Dla pani to wszystko jest oczywiste, bo to pani życie. Zna pani każdy jego szczegół. A ja potrzebuję się w tym rozeznąć, zanim napiszę.

Zadaję więc każde pytanie. Jeśli tylko czuję, że bez tego nie zrozumie historii. Wiem, że niektórzy reporterzy mają blokadę. Wstydzą się pytać o pewne sprawy lub uważają, że ich pytania byłyby niestosowne albo zbyt raniące dla bohatera.

Wychodzę z założenia: jeśli bohater nie zechce mi o czymś opowiedzieć, ja to uszanuję. Tak zdarza się przy researchu do

Zadaję każde pytanie. Jeśli tylko czuję, że bez tego nie zrozumie historii. Wiem, że niektórzy reporterzy mają blokadę

Jeśli siedzimy z bohaterem już szóstą godzinę, on opowiada mi najboleńsze szczegóły ze swojego życia i płacze, płacząc razem z nim

reportażu „Władcy ciał i umysłów” – o przemocy w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym w Renicach. 17-letni Kuba przez dwa dni opowiada mi wszystko: o tym, jak kilkunastu chłopaków dorwało go w ubikacji i przypalało mu plecy papierosami, rozgrzanymi gwoździami i lufkami ze sreberka po serku topionym. O tym, co wtedy czuł. O samotności w rodzinie – że właściwie jest w niej obcy, bo od 11. roku życia mieszka w ośrodkach wychowawczych, a z mamą i rodzeństwem widuje się tylko w święta i niektóre weekendy. O miłości do swojej dziewczyny. Ze wszystkimi szczegółami. O tym, czego mu brakuje, za czym tęskni, o czym marzy, czego się boi. „Nikommu tego nie mówiłem. Moja mama o tym nie wie. Niektórych rzeczy nie wie nawet moja dziewczyna”.

Po przeczytaniu reportażu jego terapeutka z ośrodka mówi mi, że nie znała go takiego i że jest pod wrażeniem, jak bardzo się otworzył.

Ale kiedy zapytałam go:

- Możesz mi opowiedzieć o próbach samobójczych?
- Nie chcę do tego wracać – uciął.

Normalnie próbowałabym delikatnie z innej strony. Ale w tym jego pozornie oschłym zdaniu wyczułam tyle napięcia i bólu, że natychmiast odpuściłam.

Często mam wrażenie, że ludzie wręcz potrzebują wyrzucić coś z siebie. Że zalegają w nich nieopowiedziane historie i tylko czekają na odpowiednią chwilę lub rozmówcę, żeby się dostać, wręcz wylać na zewnątrz. Żeby ktoś je zobaczył w całej złożoności.

I kiedy zaczynają mówić, są szczerzy do bólu. Potrafią opowiadać rzeczy stawiające ich samych w niekorzystnym świetle, obnażające lub zawstydzające ich samych.

PISZ DLA CZYTELNIKA. ALE ZADBAJ O BOHATERA

Czasem korci. Bohater opowiedział elektryzujące szczegóły – super dla tekstu! Ale mogłyby mu zaszkodzić w realnym życiu, np. zrujnować relacje w rodzinie albo skończyć się procesem w sądzie. Co wtedy?

Ja zawsze wybieram dobro bohatera. Chronię go przed nim samym i nie ujmuję takiego wątku czy szczegółu w tekście.

Patryk z reportażu „Kiedy myślisz piekło z rodziną” miał gówniane życie. Rodzice alkoholicy, liczne rodzeństwo, które rozpiechło się po świecie, zostawiając go z zapitym ojcem i zakamufłowaną alkoholiczką matką. I on: typowe DDA – dorosłe dziecko alkoholika. Dorosły od małego, odpowiedzialny, silny, niezawodny, dzielny, całe życie opiekujący się innymi. I nagle: trach! Wypływa, że w dodatku latami był molestowany przez zaprzyjaźnionego księdza z miejscowej parafii. Ofiara idealna: dziecko z dysfunkcyjnego domu, któremu nikt nie uwierzy. Na-

wet matka. Patryk opowiada mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Ma tylko kłopot z doborem słów. „Dotknął mnie... tam... na dole”. Ale ja potrzebuję zrozumieć, więc pytam: „Dotykał penisa, jąder czy odbytu?”. Brzmi to obcesowo, ale moi rozmówcy czują, że pytam z empatią i uważnością. Że kiedy rozmawiamy, jestem cała dla nich i z nimi współodczuwam. Często zdarza się, że razem płacemy (o tym później).

Zadaję Patrykowi wiele dodatkowych pytań, żeby zrozumieć, co było najpierw, co potem, a co na końcu. Układa się to w historię znakomicie pokazującą mechanizm molestowania. Krok po kroku, włącznie z budowaniem emocjonalnego uzależnienia ofiary od pedofila.

Niektóre szczegóły są bulwersujące i świetnie pasują do tekstu, a do tego mają ten wydźwięk: pokażmy to w interesie społecznym.

Ale przed publikacją wycinam najbardziej drastyczny fragment. Uznaję, że inne szczegóły są wystarczające, żeby poruszyć czytelnika. A te akapity naruszyłyby intymność bohatera.

CUDZE RADY SA... CUDZE. UFAJ SWOJEJ INTUICJI

Na początku mam fisia na punkcie bycia profesjonalną. Nasłuchałam się od starszych o pokolenie i doświadczonych reporterów mądrości typu: „Jak jedziesz do bohatera i on proponuje ci herbatę, to możesz wypić. Ale zupy już nie możesz zjeść. Bo przyjęłaś coś od niego i potem będzie ci głupio napisać coś nie po jego myśli albo to on będzie miał pretensje”.

Albo że nam reporterom nie wolno płakać przy bohaterze. A już szczególnie, kiedy on sam nie płacze. Bo w ten sposób przykrylibyśmy jego cierpienie swoim, a to on jest najważniejszy.

Piszę o niemal samych trudnych sprawach: przemoc fizyczna, psychiczna, seksualna, ekonomiczna, śmierć, choroba, utrata, trauma.

Zawsze współodczuwam emocje rozmówcy. A niemal każdy w którymś momencie się wzrusza: szklą mu się oczy, drży głos, płyną pojedyncze łzy lub szlocha na całego. Mam ochotę płakać razem z nim, ale zwykle duszę to w sobie, bo z tyłu głowy kołaczą mi się tamte słowa bardziej doświadczonego reportera. Wypracowuję sobie nawet własny patent: kiedy już czuję, że łzy napływają mi do oczu, szczypię się w przedramię. Dyskretnie – tak, żeby rozmówca nie zauważył, a jednocześnie na tyle mocno, żeby przekierować uwagę mojego mózgu.

Aż wiosną 2019 roku jestem na spotkaniu autorskim z Justyną Dąbrowską – psychoterapeutką, dziennikarką i autorką zbioru wywiadów „Miłość jest warta starania. Rozmowy z mistrzami”. Opowiada, jak jej bohaterka przez całe życie trzymała w ukryciu pewną historię trudną do udźwignięcia, aż przy niej wyrzuciła ją z siebie i się popłakała.

– Mnie też pociekły łzy – mówi Dąbrowska. – I siedziałyśmy tak obie i razem płakałyśmy. A kiedy przestała, po prostu kontynuowałyśmy rozmowę.

A mnie olśniło: „Czyli można!”.

Teraz robię to, co czuję. Jeśli siedzimy z bohaterem już szóstą godzinę, on opowiada mi najintymniejsze i najboleńsze szczegóły ze swojego życia i płacze, płacząc razem z nim.

I co się okazuje? Że nie tylko mu to nie szkodzi i nie przykrywa jego cierpienia, ale wręcz pomaga. A wtedy otwiera się jesz-



cze bardziej. Bo czuje, że mu towarzyszę w jego emocjach, bez oceniania.

W takich chwilach zdarza mi się też pogłodzić rozmówcę czy rozmówczynię po ramieniu, a nawet rzucić spontanicznie:

– Mogę panią przytulić?

I przytulam.

W grudniu 2015 roku jadę 11 godzin nocnym pociągami z Krakowa do Szczecina. Zebrać materiał do reportażu o Galinie, Ukraince, która adoptowała pięcioro dzieci – ciężko chorych lub z dysfunkcyjnych domów – i po aneksji Krymu przez Rosję uciekła z nimi do Polski. A kiedy się zadomowiła, a dzieci poczuły się bezpiecznie w nowych szkołach w Szczecinie, polskie państwo próbuje ich deportować.

Spędzam z Galiną, jej dziećmi i całym kręgiem dobrych ludzi wokół niej trzy dni. Swoją drogą, jest to research życia. Bo Galiną i dziećmi zaopiekował się pastor Mariusz Socha, a wraz nim cała społeczność jego protestanckiego Kościoła. Kiedy wysiadam z pociągu, wszystko jest zorganizowane: zapoznanie z Galiną po niedzielnym nabożeństwie, później długie rozmowy u niej w domu, później z prawnikiem, który

Zdarza mi się pogłodzić rozmówcę czy rozmówczynię po ramieniu, a nawet rzucić spontanicznie: – Mogę panią przytulić?

reprezentuje ją i walczy o nią i dzieci w Urzędzie Imigracyjnym. Następnego dnia pastor zawozi mnie do trzech różnych szkół, we wszystkich już czekają na mnie dyrektorzy, wychowawcy, a nawet uczniowie z klasy – żeby opowiedzieć o dzieciach Galiny.

Po tych trzech dniach i analizie dokumentów mam poczucie, że materiału zebrałam na pół książki, a nie tylko na reportaż prasowy.

Za to długo pracuję nad tekstem. Zależy mi, żeby poruszył czytelnika i pomógł Galinie oraz jej dzieciom.

Szlifuję tekst i szlifuję, aż w końcu uznaję, że już nie jestem w stanie go ulepszyć, więc wysyłam Mariuszowi Burchartowi

– doświadczonemu redaktorowi, z którym pracuję od pierwszego reportażu i któremu totalnie ufam.

Zwykle wyławia zbędne powtórzenia wątków czy drobne dłużyzny i proponuje niewielkie poprawki.

Tym razem szok! Wyciął cały początek i przeniósł dużo niżej. Walczę ze sobą. Rozum mi podpowiada: „Posłuchaj go, ma doświadczenie, nie takich autorów redagował! Wie, co dobre dla tekstu”. Ale intuicja krzyczy: „Zostaw ten początek tak, jak napisałaś! Tak czujesz i tego się trzymaj!”.

Decyduję się zawalczyć. Tłumaczę, ile się nad tym napracowałam i dlaczego moim zdaniem ten tekst powinien zaczynać się właśnie tak: „Luda często śpi z psem w budzie, bo cieplej. Ma sześć lat, jest chuda, więc spokojnie się mieszczą. No i mama jej tam nie znajdzie”.

Redaktor przyjmuje argumenty, publikujemy moją wersję. Kamień z serca.

Ale dzwoni mój pierwszy nauczyciel i tutor Mariusz Szczygieł i mówi, że ten początek to jednak za ciężki. Jak by mi to wytłumaczyć... Że jest jak zbyt masywny naszyjnik założony do zwiewnej letniej sukienki.

Jest mi trochę przykro. A poza tym, uwielbiam biżuterię etniczną i latem noszę ciężkie naszyjniki do zwiewnych sukienek.

To ważna chwila w moim reporterskim życiu. Stoję właśnie w rozkroku między słuchaniem autorytetów a zaufaniem własnej intuicji i wrażliwości.

Rok później, 3 grudnia znów przyjeżdżam do Szczecina. Długo to trwało, ale udało się: reportaż „Wojny Galiny” poruszył miejscowych posłów, zainterweniowali w Sejmie i Urzędzie Imigracyjnym, Galina i dzieci nie zostaną deportowani z Polski. Pastor Socha organizuje imprezę z koncertem, żeby podziękować ludziom, którzy się do tego przyczynili. Są wszyscy, którzy pojawili się w reportażu, nawet wychowawcy dzieciaków Galiny. Ściskamy się z poczuciem, że zrobiliśmy coś dobrego i ważnego.

10 dni później jury przyznaje mi Grand Press za „Wojny Galiny”. Kompletnie się nie spodziewałam, bo kogo obchodzi cichy reportaż sprzed roku, i to na niszowy wówczas temat.

Ale nagrodę odbieram, mając na sobie czarną sukienkę i masywny naszyjnik w kolorze starego złota, z pięcioma ciężkimi turkusowymi kamieniami.

TREŚĆ POTRZEBUJE FORMY

Od początku mam też fisia na punkcie twórczego dobierania formy do treści. Czasem zdarzają się olśnienia. Na przykład już podczas pierwszej rozmowy z Czesławem Kowalczykiem („Głupia sprawa”) wiem, że jego historię napiszę w formie listu do syna. Albo bohater mówi i mówi, aż nagle słyszę takie zdanie, że od razu notuję: „Super na puentę tekstu!”.

Ale nie oszukujmy się, zazwyczaj to orka na ugorze. Mam zebrany materiał i przetwarzam. Męczę się. Na kartce A4 rozrysowuję kolorowymi cienkopisami: temat w środku, wokół wszystkie wątki. Dodaję strzałki o miękkich liniach, żeby pobudzić obie półkule mózgu. Nadal się męczę. A pisanie nie zaczynam, dopóki nie mam w głowie koncepcji tekstu. Pojście: „Napiszę se kilka akapitów, a potem się zobaczy” nie wchodzi w grę.

W 2015 roku trafiam na wyjątkowy temat. Pani Romy, która po sześćdziesiątce odnajduje miłość swojego życia sprzed 43 lat: Bułgara, którego poznała na plaży w Złoty Piaskach. Ich miłość rozkwitała, przyjechał do Polski się oświadczyć. I nagle zniknął. Ona dwa razy wychodzi za mąż, za mężczyzn, których nie kocha. Ale wciąż nie może zapomnieć o swoim Bułgarze. Kiedy ma 57 lat, niemal umiera na raka. Wtedy wysłała do niego kartkę, nie znając jego dokładnego adresu, tylko nazwę miejscowości. O dziwo, Bułgar odpisuje. Miłość sprzed 43 lat wybucha na nowo, choć oboje są poturbowani przez życie. Ona leci do niego, ze świeżymi bliznami po operacji onkologicznej. Wciąż nie wie, czy będzie żyła. On nie wie, że ona ma raka.

Czuję ciężar odpowiedzialności: takiej historii nie mogę zepsuć siernieżną formą. Opisując ją linearnie, metodą: „Idziem, idziem, co my widzimy” – jak mawia Barbara Pietkiewicz. Ale jak uwieść czytelnika, zajmując temat, a jednocześnie nie zdradzić wszystkiego od początku?

Męczę mnie to przez kilka dni. Wreszcie olśnienie! Zrobię to jak Woody Allen w filmie „Blue Jasmine” z Cate Blanchett! Tam też przeplatały się dwie historie tych samych bohaterów na dwóch różnych etapach życia i byłam totalnie pod wrażeniem, jak on żongluje scenami: terażniejszość – retrospekcja – terażniejszość – retrospekcja. Oglądałam film ponownie. I, jak jakaś oszołomka, po każdej scenie włączam pauzę i notuję, co w niej było i z którego czasu.

No właśnie: czasy. W filmie można to łatwo pokazać. Choćby fryzurą czy charakterystyką postaci. A jak ja mam to zrobić, nie mając do dyspozycji obrazu, tylko litery?

Znowu się męczę. Aż wymyślam rozwiązanie: historię Romy z ostatnich lat będę pisać w czasie terażniejszym, a jej historię z przeszłości w czasie przeszłym!

Brzmi prosto. Ale w połączeniu z żonglowaniem scenami i przeplataniem ich tak, żeby czytelnik za tym podążył i się nie pogubił – prawdziwe wyzwanie. Samo pisanie zajmuje mi dwa tygodnie.

RÓB TEMATY, KTÓRE CZUJESZ

– Widzisz rzeczy, których inni nie widzą – mówi mi w 2012 roku mój tutor w Polskiej Szkole Reportażu Mariusz Szczygieł. Brzmi dobrze, już zaczynam się cieszyć, ale wtedy pada druga część:

– Możesz pisać rzeźbę w gównie.

To już brzmi gorzej. Ale Mariusz tłumaczy, że to taki podgatunek reportażu: nie opowiada jednej konkretnej historii, nie ma tam wartko toczącej się akcji ani wstrząsających wydarzeń. To reportaż złożony z luźnych scenek i wypowiedzi wielu ludzi na dany temat. Zwykle opisuje jakieś zjawisko lub odpowiada na pytanie, np. co brzydzi Polaka?

Większość reporterów w ogóle nie widzi w tym temacie. Bo jak tu zebrać materiał? Dokąd pójść, z kim rozmawiać? A później: jak to napisać, skoro nie ma w tym żadnej linii czasu ani wydarzeń?

No właśnie. To już inwencja reportera. Rzeźba w gównie wymaga pomysłu na etapie researchu, a najbardziej na etapie pisania. Trzeba wyselekcjonować najlepsze z tych okrucich rzeczywistości, które zebraliśmy, i zestawić je jak elementy mozaiki. A ponieważ nie ma tu porywającej akcji, trzeba nadrobić stylem, pomysłowością, poczuciem humoru.

Konrad Oprzędek robi to znakomicie w reportażu „Dziary narodowe”. Cały tekst odpowiada po prostu na pytanie: co tatuują sobie narodowcy? A w tle: jakie są ich motywacje i emocje, co im to daje?

Oprzędek zaczyna tak: „Daniel masuje się po Polsce, którą ma wytatuowaną na ramieniu. Polska trochę boli, bo dwa dni wcześniej kazał postawić ją w płomieniach i dodać żołnierza Armii Krajowej z kabinem. Za tatuaż zapłacił zasiłkiem dla bezrobotnych”.

Redakcja lubi takie teksty. Dla płodozmianu. Bo jak w numerze są trzy przynębiające reportaże o traumie i tragedii, to przynajmniej przy tym jednym niech się czytelnik uśmiechnie i odetchnie.

Piszę więc rzeźby w gównie regularnie: Jak mówić o czarnych, skoro Murzyn jest obraźliwy? Na co przysięgają Polacy? O czym śpiewają discopolowcy? Czy szef musi być chamem?

Świetnie to robi warsztatowi, ale coraz wyraźniej czuję wewnętrzne fuj. Bo przy rzeźbie w gównie każdy etap pracy jest trudniejszy i bardziej czasochłonny: research, komponowanie tekstu, pisanie, a nawet autoryzowanie. Bo zamiast kilku rozmówców masz np. dwudziestu.

A w dodatku końcowy efekt mniej wdzięczny. Po lekturze reakcja: „No fajne”. Ale nie porusza.

A ja chcę, żeby poruszało.

DOBRE NAPISANY TEKST NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD. PODPATRUJ, JAK ROBIĄ TO INNI

Dużo czytam. Od dziecka to lubię. Ale odkąd sama zaczęłam pisać, czytam już nie tylko dla przyjemności. Jedna część mnie podąża za opowiadaną historią, a druga cały czas pozostaje czujna: „Jak autor to zrobił? Jak mnie tutaj zaskoczył, zwiódł, zachwyił nieoczekiwanym zabiegiem? Jak buduje dramaturgię?”. Z zapalem podkreślam te fragmenty żółtym cienkopisem, robię zamasyte strzałki między akapitami, notuję spostrzeżenia.

Wydaje się szkolne, ale zaprocentuje. Bo dobrze napisany tekst nie jest owocem natchnienia, które spłynęło, tylko świadomego warsztatu. Na bazie własnych prób i błędów, ale można też skorzystać z cudzych.

Nie lubię i nie szanuję, jak autor pisze siermiężnie. Podziwiam i zazdroszczę, jak robi to z polotem:

„Wszedłem do kibla. [...] Już przedsiónek śmierdział jak gnijący jeleń. Albo jak sopol zamarniętej uryny, boleśnie wbijający się w nozdrza” – podkreślam w reporterskiej książce Charliego LeDuffa „Detroit. Sekcja zwłok Ameryki”. I dalej:

„Był to niski, tęgą faceta z okrągłą twarzą o tłustej cerze. Jego głowa wyglądała jak owinięta w plastik golonka”.

„Jej napięcie rzucało się w oczy jak tandetna sukienka włożona na elegancki koktajl”.

Zaznaczam w gazetach i w książkach, które regularnie kupuję. Nie tylko bogów reportażu, jak Hanna Krall, Małgorzata Szajnert, Lidia Ostałowska, Mariusz Szczygieł, Wojciech Jagielski, Wojciech Tochman. Ale też w powieściach i opowiadaniach.

Jasne, wiem, że przymiotniki to puste kalorie tekstu i że zamiast ich użyć, lepiej tę samą rzecz pokazać poprzez sytuację.

Jestem WWO – osobą wysokowrażliwą. Bezwiednie zauważam i koduję setki szczegółów i niuansów, które umykają 80 procentom ludzi

jedzenie”. (Lauren Groff „Fatum i furia”). Szczególnie to ostatnie zdanie sprawia, że widzę i czuję bohaterkę w tym zwrotnym momencie jej życia.

Albo błyskotliwe sformułowania i gry słowne. „Dobry humor nie opuścił go nawet, gdy uczyniła to jego żona” (Amos Oz).

Czasem, kiedy nie mogę ruszyć z pisaniem, wracam do moich pokreślonych na żółto książek i szukam w nich inspiracji.

PRZY KAŻDYM TEKŚCIE BĘDZIESZ SIĘ CZUŁA JAK GÓWNO. NIE MARTW SIĘ, TO NORMALNE

Niedziela, siedzę w fotelu, przeglądam gazetę. Moją uwagę przykuwa wywiad, w którym ktoś tłumaczy, jak działa proces twórczy – krok po kroku. Że zawsze na pewnym etapie zderza się z kryzysem, popada w zniechęcenie, ma ochotę odpuścić.

Rezonuje.

Rzucam się googlować temat. Od razu wyskakuje mi grafika: „Creative process”.

1. This is awesome
2. This is tricky
3. This is shit
4. I am shit
5. This might be ok
6. This is awesome

Przecież ja to przeżywam za każdym razem, kiedy pracuję nad reportażem! Począwszy od pomysłu na temat, poprzez zbieranie materiału, aż po samo pisanie. Ale to przy pisaniu doświadczam takiej frustracji, że mam ochotę rzucić nie tylko tekst, ale i robotę.

A tu okazuje się, że to po prostu naturalny etap procesu twórczego. Gówno z punktów 3. „To gówno” oraz 4. „Jestem gównem” przyplynie, po czym odpłynie, jeśli tylko wystarczająco długo popracuję nad tekstem.

Olśnienie i ulga. Błogosławię ten dzień, albowiem zmienił moje życie!

Dzwoni koleżanka reporterka: – Ania, szlag mnie trafia, nie mogę skończyć tekstu. Biedzę się nad nim i nic, nadal gniot. Może ja nie umiem pisać...? A ty w ogóle miewasz takie kryzysy twórcze i chwile zwątpienia?

– Kochana, za każdym razem. Nie ma znaczenia, jaki temat, ile już napisałam podobnych, jakie mam doświadczenie.

– Serio? Dziękuję! A myślałam, że tylko ja tak mam. W takim razie odwołam moją wizytę u terapeuty.

PRACUJESZ WOLNIEJ, ALE GŁĘBIEJ. NIE ZMIENISZ TEGO

Od 10 lat, od kiedy zaczęłam pisać, z tyłu głowy kołacze mi się pytanie: „Co robię źle? W czym rzecz?”.

Bo wszystkiego za dużo. Za dużo rozmów z bohaterami, za dużo materiału, za duży wybór do wyselekcjonowania, za dużo rozkminiania, jak napisać, wreszcie: za długi tekst. Umawiam się z redaktorem na 24 tys. znaków, a przysyłam mu 30 tys. I to nie dlatego, że się nie przyłożyłam. Wręcz odwrotnie. Nie umiem oddawać niedorobionych tekstów. Jak już mam pierwszą wersję reportażu – z poczuciem, że ujęłam w nim wszystko, co istotne – przychodzi etap samoredagowania. Zgęszczam i przycinam tekst tyle razy, ile trzeba, żeby uznać: no dobra, może być. Czytam na głos. Zostawiam na noc, niech się uleży. Rano czytam kolejny raz i znów poprawiam. Jak redaktor mnie pospiesza, odpisuję: „Zaraz! Oddzwoniam!”. To oznacza, że koniec pracy już blisko. Ale tych własnych wersji mam od 5 do 12.

Aż pewnego dnia sprawa się wyjaśnia. Jestem WWO – osobą wysokowrażliwą. Oznacza to, że mam bardziej wyczulony układ neurologiczny. Wcześniej niż inni i mocniej czuję zapachy, wyraźniej słyszę dźwięki, nie toleruję tych wysokich i ogólnie hałasu, „widzę rzeczy, których inni nie widzą”, źle znoszę przebodźcowanie. Ale najważniejsze: bezwiednie zauważam i koduję setki szczegółów i niuansów, które umykają 80 procentom ludzi. Począwszy od wyglądu kogoś lub czegoś, poprzez zachowanie, mikroekspresje na twarzy, intonacje w głosie, smaki, zapachy, a nawet cudze emocje.

Dar i przekleństwo w jednym.

Bo z jednej strony bez wysiłku dostrzegam rzeczy, do których inni nie mają dostępu. Z drugiej – potrzebuję więcej czasu, bo głębiej przetwarzam. A nie da się zmusić mózgu, żeby przyspieszył.

Tak jak nie da się szybciej strawić zbyt obfitego obiadu tylko dlatego, że chcesz. Albo że babcia chce, bo chętnie podałaby ci już serniczek albo szarlotkę. W roli babci oczywiście redaktor lub szef, którzy już ci podsuwają następne tematy.

Do tego współodczuwam emocje rozmówców, tak jak kabel przewodzi prąd. I nic nie mogę z tym zrobić.

– Ania, nie przejmuj się tak – mówi mi szef, kiedy przeżywam cierpienie i bezsilność moich bohaterów.

– Nie rozumiesz. To niezależne ode mnie, taki mam układ neurologiczny. To tak, jakbym ja tobie doradziła: nie oddychaj.

NIE WSZYSTKO ZALEŻY OD CIEBIE. POGÓDŹ SIĘ Z TYM

Możesz się starać na 100 procent, wypruć sobie flaki, a i tak nie wyjdzie.

Zbieram materiał do reportażu o Marcie, drobnej 30-latkce niemal zakatowanej na śmierć przez męża Pawła – wpływowego biznesmena. Którejś nocy wykrzyczał jej przez telefon: „Jadę cię zajeżdżać!”. Po czym wpadł do domu, rzucił ją na ziemię, zgolił włosy, kopał po całym ciele i tłukł jej głową o posadzkę. Cudem ją odratowano. Teraz ma uszkodzony kręgosłup, porażenie czterokończynowe (nie rusza rękami i nogami), poprzecinane ścięgna, liczne siniaki. Przyjeżdżam do niej do szpitala przez trzy tygodnie. Opowiada mi całą historię. Rozmawiam też z jej bratem, ojcem, mamą, lekarzem, który ją operował i uratował jej życie. Poznają

nawet dwoje małych dzieci, które widziały, jak ich tata usiłuje zabić mamę. W ich okazałej posiadłości na zboczu wzgórza otoczonej wysokim murem spędzam kilka godzin. Poznają też innego biznesmena, z którym Paweł miał zatarg, więc podpalił mu firmę.

Materiału mam aż za dużo, w kilka dni piszę reportaże, drukuję go i jadę do szpitala przeczytać Marcie na głos, żeby autoryzowała. Wchodzę do sali, a tam zamiast Marty na środkowym łóżku: zasuszona staruszka. Co jest? Pomyliłam sale czy co? Scena jak z taniego filmu. Pytam pielęgniarki, które już mnie znają, gdzie Marta. A one: – Wyszła wczoraj. Wypisała się na własne życzenie.

Dzwonię do Marty. Nie odbiera. Ani tego dnia, ani w kolejnych.

Dzwonię do brata, który zawsze odbierał. Nie odbiera.

Do jej forticy na wzgórzu nie ma po co jechać, i tak mi nie otworzy.

Dzwonię do redaktora: – Co robimy?

Uznajemy: Marta jest straumatyzowana, ma prawo się wycofać. A bez jej autoryzacji nie puścimy tekstu do druku. Czyli miesiąc mojej pracy poszedł na marne. Nie ma publikacji, nie ma wynagrodzenia.

A ja niezmiennie jestem freelancerką i nawet kiedy publikuję dużo, zarabiam mało. Przez osiem lat nie stać mnie na wakacje. Zresztą jest nas więcej. Od dawna żartujemy: spoko, zjemy szczaw. Cóż, śmiech przez łzy. Nie mamy etatu, ubezpieczenia zdrowotnego, składek emerytalnych, żadnego poczucia bezpieczeństwa. Nie bierzemy udziału w kolegiach, nie mamy z kim przegadać tematów, nie mamy poczucia przynależności. Zdani sami na siebie. Upominamy się o prawa i godność bohaterów naszych tekstów, nie potrafimy się upomnieć o swoje.

PRACUJ Z ZAANGAŻOWANIEM.

ALE NIE NADUŻYWAJ SIEBIE

Jadę do bohaterki potencjalnego reportażu. To ma być wstępna rozmowa u niej w domu: przewiduję godzinę – dwie. Opowiada mi, jak matka ją biła przez całe dzieciństwo, raz nawet złamała na niej drewnianą deskę do krojenia. Nagle robi mi się słabo. Zerkam za okno: ciemno. Patrę na zegarek: minęło sześć godzin. Od 10 godzin nic nie jadłam, a w dodatku potwornie chce mi się siku.

Zawsze tak jest: kiedy w grę wchodzi przejmująca historia, zaczynam nią żyć. Bardziej niż własnym życiem.

Myślę o niej, kiedy jadę autobusem i kiedy zmywam naczynia, pod prysznicem, przez zaśnięciem i po przebudzeniu. Jak się wkręcę, to nie wychodzę z domu, nawet na swoje ukochane lekcje tańca, i nie spotykam się ze znajomymi. Czasem nawet nie jem obiadu, tylko kanapki, bo szybciej.

Niektóre tematy rzucają mi się nie tylko na umysł, ale i na ciało.

W 2021 roku przez trzy miesiące pracuję nad reportażem o przemocy w Młodzieżowym Ośrodku Wycho- →

Z drugiej strony – potrzebuję więcej czasu, bo głębiej przetwarzam. A nie da się zmusić mózgu, żeby przyspieszył



wawczym w Renicach. Lato, słońce, a ja codziennie płaczę. Budzę się w nocy i nie mogę zasnąć. Jem mało i zdrowo, ale mój organizm tego nie trawi. Tak jak nie trawi przemocy i traumy, o której piszę w tym reportażu. W każdym nastolatku na ulicy czy w autobusie widzę skrzywdzonego wychowanka MOW-u.

Idę na comiesięczną wizytę do mojego fizjoterapeuty, bo od pół roku mam kontuzję barku, a on:

– Ło Jezu, co się pani stało? Wszystko ponapinane!

Okazuje się, że moje ciało jest jak zbroja. A emocjonalnie i psychicznie jestem w rozspyce.

Czuję, że potrzebuję pomocy. Umawiam się na konsultacje psychologiczne online, które oferuje pracownikom moja firma. Płaczę przez całą wizytę. Opowiadam o tym, jak chłopcy byli bici pałką teleskopową, pięścią w głowę, jak wychowawcy wykręcali im genitalia, jak 16-latek usiłował uciec stamtąd przez okno, spadł, złamał kręgosłup i już nigdy nie będzie chodził.

Terapeutka zauważa, że nawet ludzie z interwencji kryzysowej przygotowani do pracy z traumą muszą zmieniać stanowisko najpóźniej po ośmiu latach. Inaczej się wykończą.

Cóż, oto ukryta część składowa naszej pracy, o której się nie mówi. Tymczasem prawie wszyscy reporterzy, których znam i szanuję, są lub byli w terapii. Oczywiście na własny koszt.

Podrzucam ten wątek dyskretnie podczas dyskusji panelowej „Czy reportaż może zmieniać świat?” na Festiwalu Wrażliwym. Prowadzi Magdalena Rigamonti, dyskutują: Ewa Żarska, Katarzyna Włodkowska i ja. Zauważam, że my, reporterki i reporterzy, ciągle mamy do czynienia z cudzym cierpieniem i traumą, często czujemy się też odpowiedzialni za naszych bohaterów i ich dalsze losy, i że przydałoby nam się wsparcie psychologiczne. Sesję z terapeutą, żeby móc zrzucić to napięcie i cudze traumy.

Ewa Żarska, która niedawno została nominowana do kilku nagród za reportaż telewizyjny o pedofilu, a ostatnie miesiące spędziła, pisząc książkę o Trynkiewiczu, stwierdza:

– Ja nie potrzebuję żadnego psychologa. Mnie wystarczają przyjaciele.

Dwa lata później dowiaduję się, że popełniła samobójstwo.

U MNIE BYŁO BARDZIEJ PRZYZIEMNIE

Gdybym pisała reportaż o samej sobie, zatytułowałabym ten rozdział „Pierdolnięcie”.

Grudzień 2017 roku. Jadę do Warszawy na wywiad. Temat żywo mnie interesuje, rozmówczyni świetna. Po czterech godzinach wychodzę z poczuciem, że mam wartościowy materiał. Wystarczy go spisać, mocno skrócić i zredagować. Deadline za dwa tygodnie, mnóstwo czasu.

Spisuję. Siadam do części twórczej, czyli pisania samego wywiadu. I nic. Kolejnego dnia – nic.

– O co chodzi? – myślę. Przecież to łatwizna: jeden rozmówca, jeden konkretny temat. Pikuś w porównaniu z tym, jaką pracę wykonuję zwykle do reportażu.

Mam przed sobą pusty plik tekstowy z kursorem mrugającym jak redaktor, który zlecił mi temat: „Dajesz, Ania! Piszesz!”.

Ale nie jestem w stanie. Nie potrafię sklecić pierwszego zdania ani żadnego innego. Nie potrafię zdecydować, co na początek, co do środka, co na koniec, a co wyrzucić. Widzę rozlewającą się magmę szczegółów, wątków, pytań i odpowiedzi. Nie umiem nic wybrać. Wszystko jest tak samo ważne i nic nie jest ważne jednocześnie.

Takie momenty zdarzały mi się już wcześniej. Ale teraz z momentu robi się dzień, dwa, trzy. Mija tydzień, a ja wciąż siedzę przed migającym kursorem.

Gorączkowo czytam książki popularnonaukowe o tym, jak lepiej zorganizować sobie pracę i poprawić swoją wydajność. Mijają kolejne dwa tygodnie, a ja wciąż nic.

– Oho, grubszy problem – zaczynam rozumieć. I szukam psychoterapeuty, który ma też uprawnienia coacha. Bo wciąż myślę: wystarczy, że jakiś doradca sygnie mi parę złotych rad i będę naprawiona.

W styczniu 2018 roku idę na tzw. konsultację do takiego terapeuty i coacha w jednym. Na miejscu okazuje się, że koleś jest też karateką, mediatorem i masażystą, a w gabinecie stoi profesjonalne łóżko do masażu. Od trzeciej minuty czuję, że go nie szanuję i nic z tego nie będzie.

Ewa Żarska: „Ja nie potrzebuję żadnego psychologa. Mnie wystarczają przyjaciele”. Dwa lata później dowiaduję się, że popełniła samobójstwo

Ale nie odpuszczam. Tydzień później siedzę już w gabinecie innej psychoterapeutki z uprawnieniami coacha.

Po wysłuchaniu, z czym przychodzę, zadaje mi jedno pytanie:

– Rozważała pani psychoterapię?

– Rozważałam wszystko – odpowiadam.

I zostaję u niej na trzy lata.

Tyle też trzyma mnie blokada twórcza. Całkiem sprawnie redaguję cudze teksty, ale własnego nie jestem w stanie napisać.

Zaprzyjaźnione redakcje proponują mi tematy, parę razy robię nawet research do reportażu. Daremny trud. Darmowa praca. Bo i tak zawsze na koniec okazuje się, że nie potrafię zebranego materiału przetworzyć w tekst.

Nie mam z czego żyć. Boli. Szczególnie że od 20. roku życia zarabiałam na siebie i byłam samodzielna. Teraz imam się różnych doraźnych prac, żeby tylko przetrwać. A terapia kosztuje.

Kiedy więc na początku 2021 roku dzwoni Paweł Kapusta i proponuje dołączenie do świeżo tworzonego zespołu treści premium w Wirtualnej Polsce, zadaję sobie pytanie:

– Czy ja jeszcze umiem pisać?

A kilka tygodni później oddaję mój pierwszy reportaż dla nowej redakcji i sama sobie odpowiadam:

– Tak, jednak umiem.

Dziewięć miesięcy później odbieram trzeciego Grand Pressa za reportaż. ♦